

List Władysława Kwaśniewicza (z roku 2001) do Włodzimierza Winławskiego, będący głosem w dyskusji na temat socjologii polskiej w okresie stalinowskim lat 1945–1955 (przygotował do druku adresat listu)

List ten wart jest upublicznienia! Stanowi świadectwo socjologa, którego większość lat twórczych przypadła na czas PRL-u.

Władysław Kwaśniewicz urodził się w roku 1926, studiował socjologię i etnografię w latach 1946–1952 na Uniwersytecie Łódzkim i Uniwersytecie Jagiellońskim. Był uczniem Kazimierza Dobrowolskiego, który na zawsze pozostał w jego życzliwej pamięci. Stopnie i tytuły naukowe otrzymywał jako pracownik UJ. Odszedł na emeryturę w roku 1996. Aktywny był naukowo aż do dnia śmierci w roku 2004. Uprawiał socjologię wsi i narodu, historię socjologii, w pierwszym okresie twórczości także etnografię. Dziełem jego życia jest *Encyklopedia Socjologii*, wydana pod jego redakcją jako praca zespołowa w sześciu tomach (1998–2007).

Prezentowany list jest reakcją na artykuł o socjologii polskiej w okresie stalinowskim, który został opublikowany w 2000 roku. Jest dokumentem świadka tamtego czasu. Adresatem listu jest osoba, która „tamte czasy” przeżyła, będąc uczniem szkoły podstawowej, dziś siłą rzeczy pozyskująca wiedzę o 10 latach powojennych za pośrednictwem źródeł historycznych i opracowań historyków.

Tekst listu podany jest z kilkoma skrótami, co zaznaczono klamrą. Dodano do listu przypisy, które przybliżą czytelnikowi fakty opisywane w dokumencie oraz w nawiasach rozwijano skróty nazw instytucji, do niektórych nazwisk dodawano pomijane przez autora imiona.

WŁADYSŁAW KWAŚNIEWICZ
ul. Ernesta Solvaya 8, 30-427 Kraków

24 lipca 2001

Drogi Włodku,

dziękuję za Twój tekst o socjologii polskiej w okresie stalinowskim. Zapoznałem się z nim zaraz po powrocie z Krakowa do Ochotnicy Dolnej w Gorcach, gdzie prawdopodobnie spędzę lato. Wróciłem smutny, ponieważ głęboko dotknęła mnie śmierć Toli Kłoskowskiej; nie tyle dlatego, że jest to *memento* dla każdego, kto należy do tej samej generacji, ile ze względu na podziw i sympatię, jaką ją darzyłem jeszcze od moich czasów studenckich na łódzkiej socjologii (1946 r.). Od razu też chciałem Cię zapytać, czy wyraziłbyś zgodę, aby w *Suplemencie [Encyklopedii Socjologii]* znalazło się hasło poświęcone Toli? Z tym samym zapytaniem zwróciłem się do Jurka Szackiego. Bądź tak dobry i odpowiedź przyslij mi pocztą elektroniczną.

Twoją rozprawę przeczytałem, jak to się mówi, *jednym tchem*. Jest to wstrząsający emocjonalnie dokument prawdy o tamtych czasach, na które, nawiasem mówiąc, przypadł szmat życia mego pokolenia. Równocześnie daje on świadectwo innej prawdzie, że na dłuższą metę największy nawet terror nie prowadzi do złamania dążeń ludzkich ku lepszej przyszłości.

Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, przed jak trudnym stanąłeś zadaniem. Niebywale kłopotliwe jest zwłaszcza znalezienie właściwej perspektywy w spojrzeniu na te sprawy. Sam tego doświadczyłem, pisząc kilka opracowań poświęconych tej problematyce (nie tylko powołany przez Ciebie artykuł, ale m.in. także tekst pt. *Between the universal and the native: The case of Polish sociology* [in] Brigitta Nedelmann and Piotr Sztompka, 1993, *Sociology in Europe in Search of Identity*, Berlin-New York: de Gruyter, pp. 165-187). Poza dwoma pracami, które mam na ukończeniu, zapewne nie wrócę już do kwestii związanych z naszą socjologią po II wojnie światowej. Dlatego korzystam ze sposobności, aby podzielić się z Tobą kilkoma uwagami ogólnymi, a także ustosunkować się do paru kwestii szczegółowych. Zacznę od tych pierwszych.

Na plan pierwszy wysunę sprawę zbawiennych dla nauk społecznych skutków funkcjonowania państw o ustroju liberalno-demokratycznym. Zgoda, nie stawia się tam formalnych przeszkód w ich uprawianiu, ale czy nie manipuluje się nimi w ukryty sposób? Pouczający jest *casus* Stanów Zjednoczonych. Zależność między ustrojem politycznym a funkcjonowaniem nauki wydaje mi się poza tym bardzo złożona. Nie tylko państwo ingeruje w sprawy nauki. Świadczy

o tym m.in. historia wprowadzania socjologii na UJ. Gdyby nie upór profesorów konserwatywno-klerykalnych, utworzenie katedry socjologicznej z prawdziwego zdarzenia mogło nastąpić na UJ jeszcze przed 1914 r. Z dużym trudem doszło do tego dopiero w 1930 r. Trzeba też spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć, że aczkolwiek w Polsce międzywojennej socjologia osiągnęła wcale przyzwoity poziom, to przecież jej status, w porównaniu z innymi naukami, zwłaszcza tradycyjną humanistyką (wystarczy wskazać na historię, tzw. wówczas filologię, czy prawo), był kiepski. W oczach wielu jej przedstawicieli socjologia była dyscypliną marginalną, o ile w ogóle zasługującą na miano nauki. To stara humanistyka uniwersytecka była hamulcem naszej socjologii (i paru innych dyscyplin). Jeden z sukcesów naszych socjologów w okresie Polski Ludowej upatruję w tym, że sprawa ta uległa radykalnej zmianie na lepsze.

Nie mogę również powstrzymać się przed uwagą, że wielu autorów, którzy piszą o okresie powojennym, zapomina dodać, komu „zawdzięczaliśmy” koszmar tamtych czasów. Bo przecież nie było pragnieniem znakomitej większości społeczeństwa wejście pod skrzydła Moskwy i radykalna transformacja ustrojowa. Piszę o tym z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że wybór, owszem, był. Polegałby na totalnym podporządkowaniu się dyktaturze (*vide* choćby Czechosłowacja, Rumunia i inne kraje, nie mówiąc o „Dederonii”). Tak jak w okresie II wojny światowej, tak i w latach socjalizmu nasze społeczeństwo nie załamało się i podjęło konstruktywne wysiłki na *rzecz* ocalenia swojej podmiotowości (co mu się w sumie udało; inna sprawa czy umie należycie spożytkować swój sukces). Po drugie, pamięć historyczna, nawet środowisk inteligentkich, staje się coraz płytsza i przyszedł czytelnik niektórych tekstów pisanych dzisiaj może nabrać przekonania, że to Polacy Polakom zgotowali los, jaki spotkał ich po II wojnie światowej.

Z jakiej perspektywy patrzeć więc na te lata? Dopustu bożego? Potępienia moralnego? Martyrologii? Odpowiedź jest rzeczywiście bardzo trudna. Wystarczy wskazać na kłopoty, jakie nastęrcza wybór przez autorów, z jednej strony, takiego czy innego systemu aksjonormatywnego jako podstawy sądów, z drugiej strony, takiej czy innej koncepcji człowieka jako tworu jedno- czy wielowymiarowego. Osobiście opowiadam się za spojrzeniem na tamte czasy przez pryzmat wielu płaszczyzn równoległe, w tym również – rzecz jasna – moralnej.

Na kartach Twego artykułu fatalnie rysuje się postać Juliana Hochfelda. Poznałem go w 1953 r., nigdy nie byłem jego sympatykiem. Nie mógłbym jednak powiedzieć, że nie był postacią wybitną i zasłużoną dla naszej socjologii. To on wprowadził do ówczesnych naszych nauk społecznych koncepcję „marksizmu otwartego”, co było niewątpliwym aktem odwagi cywilnej. Rozumiem, oczywiście, że marksizm może być odrzucany i w ogóle nie budzić dobrych skojarzeń. Ale to właśnie jako jego przedstawicielka tzw. poznańska szkoła filozoficzna święciła później międzynarodowe tryumfy, także na Zachodzie (do sprawy

marksizmu wracam jeszcze na dalszym miejscu). Hochfeldowi nasza socjologia zawdzięcza również tak wybitne postacie naszego życia intelektualnego, jak Maria Hirszowicz, Zygmunt Bauman, Włodzimierz Wesołowski czy Jerzy J. Wiatr. Równie wybitnymi uczniami może pochwalić się u nas chyba jedynie Antonina Kłoskowska. Czy więc w świadomości przyszłych pokoleń socjologów polskich (jeśli będą się jeszcze interesować historią swej dyscypliny) Hochfeld ma się rysować jedynie jako jej zakała? Nie byłbym tego zdania.

W tym kontekście chciałbym zająć się kwestią dylematów moralnych, z jakimi przychodziło borykać się ludziom nauki w tamtych czasach (a także i później). Od 1947 r. byłem nie tylko asystentem-wolontariuszem, ale i zarazem sekretarzem osobistym Kazimierza Dobrowolskiego. Nie dzielił się on ze mną wtedy swoimi opiniami w sprawach publicznych. Utkwiło mi jednak głęboko w pamięci, gdy mówił o ciężkich rozterkach ludzi, którzy wówczas kierowali PAU (szczegółów już niestety nie pamiętam). Dzięki ich determinacji, w sumie biorąc, podstawowy substrat dorobku Akademii został uratowany. Banałem jest stwierdzenie, iż życie publiczne jest grą, w której aspekty moralne są często podporządkowane – może nam się to nie podobać, to inna sprawa – osiąganiu pozytywnych celów. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że monolityczne moralnie postacie są zawsze czymś nader rzadkim. I nie dotyczy to tylko społeczeństw rządzonych totalitarnie. Iluż to ludzi nauki, i ile razy – zmieniało „skórę” do 1980 r., szczególnie po roku 1989 najprawdopodobniej nie z pobudek ideowych. Tak też było i w okresie socjalizmu. Zwróć jednak uwagę, że przejawy ostentacyjnego „nawrócenia” na marksizm-leninizm wśród socjologów w tamtym czasie były stosunkowo rzadkie. Niemало było natomiast przypadków zmiany przekonań wśród typowych stalinistów. Po 1956 r. należeli do nich m.in. Leszek Kołakowski, [Roman] Zimand, Zygmunt Bauman, a wśród ówczesnych możnych polskiej nauki Stefan Żółkiewski. Czy trzeba ich posądzać o koniunkturalizm? Nie we wszystkich przypadkach byłbym tego zdania. Można to nazwać minimalizmem etycznym czy permissywyzmem moralnym. Jeśli jednak przyznaje się ludziom prawo do zmieniania poglądów, to nie powinno się im „przypinać na stałe gęby”, której się wyrzekli. To samo odnosi się do Hochfelda.

Dołącza się to tego aspekt, którego – nawet na własny użytek – nie rozgryzłem do tej pory do końca. Iluż to wybitnych twórców nauki (dotyczy to także innych dziedzin rzeczywistości społecznej) było postaciami odrażającymi moralnie. A jednak weszli do panteonu Tytanów myśli ludzkiej! Czasami wydaje mi się, że porządek moralny i wybitne osiągnięcia twórcze nie przystają do siebie. Einstein pozostanie Einsteinem mimo że – jak czytałem – był wyrodnym ojcem dla swoich synów.

Powracam do sprawy marksizmu. W wielu polskich środowiskach intelektualnych utarło się przekonanie, że marksizm jest doktryną cał-

kowicie zwietrzała, anachroniczna, do której przyznawanie się, czy nawet tylko traktowanie jej jako zespołu idei, które odegrały istotną rolę w rozwoju nowoczesnych nauk społecznych, traktowane jest jako powód do pejoratywnych ocen, często zabarwionych satyrycznie. Trudno nie podzielać poglądu, że marksizm jest już od dłuższego czasu doktryną historyczną. Istotnie, nie ma dziś już prawie (a przynajmniej wśród poważnych intelektualistów) nikogo, kto mógłby być uznawany za „czystej wody” marksistę, tak jak nie ma już durkheimistów czy weberystów. Wystarczy jednak wziąć do ręki renomowane zachodnie podręczniki socjologii, nie mówiąc już o podręcznikach historii socjologii, aby przekonać się, że Marksa zalicza się do elitarnej kategorii „ojców” socjologii, którzy wywarli ogromny wpływ na naukowe wizje rzeczywistości społecznej w XX w.

Nie należy też zapominać, że kapitalny rozwój badań i towarzyszącej im refleksji teoretycznej w niektórych dziedzinach polskiej socjologii w okresie socjalizmu (*jak* np. makrostruktura) dużo zawdzięcza orientacji marksistowskiej. Warto więc może bliżej przyjrzeć się, jak polscy socjologowie radzili sobie z marksizmem, do tego odgórnie narzuconym w zafałszowanej i zdogmatyzowanej postaci. Konieczne więc wydaje mi się prowadzenie dalszych badań nad tą problematyką. Podobnie wskazane byłyby studia nad miejscem i rolą socjologii Znanieckiego. Wydaje mi się, że mimo licznych kontynuatorów polska socjologia nie wniosła do jego koncepcji nic tyle nowego, aby przyczyniło się to do zachowania żywotności pomysłów Znanieckiego w socjologii światowej. Osobna kwestia, to recepcja Malinowskiego w naszym kraju; inna sprawa, że jest ona już nieco przebadana (Kwaśniewicz, a zwłaszcza Szacki).

* * *

Jeśli dotarłeś do tego miejsca (okazując tym samym zdumiewającą cierpliwość), to doładz reszty sił i rzuć okiem na kilka uwag szczegółowych do Twego tekstu.

- str. 63, 1. akapit: przypominam, że po enuncjacji na temat skryptu Sorokina w „Kuźnicy” niejakiego rkm (fama głosiła, że za tym kryptoniem krył się jej redaktor naczelny Stefan Żółkiewski), Ministerstwo Oświaty powołało specjalną komisję, która miała zająć się zbadaniem sytuacji na krakowskiej socjologii. Los katedry Dobrowolskiego wisiał wtedy na przysłowiowym włosku. Wówczas złożyła mu wizytę pewna nasza koleżanka, działaczka, jak się okazało, ZAMP, która jasno oświadczyła, iż kłopoty miną, jeśli na socjologii powstanie wreszcie koło ZAMP (byliśmy wówczas, tj. jesienią 1947 r., jedynym kierunkiem na dużym Wydziale Humanistycznym UJ, na którym takiego koła nie było). Dobrowolski poinformował o tym zarząd Koła

- Naukowego Studentów Socjologii UJ. Po długich debatach – Dobrowolski, kurator Koła nie brał udziału w posiedzeniu, pozostawiając nam wolną rękę – coś o pierwszej w nocy, podjęliśmy ostatecznie uchwałę o powołaniu takiego Koła, do którego z wyjątkiem dwóch osób, przystąpili członkowie jego zarządu, w tym i ja. Okres studiów utrwalił mi się w pamięci jako bardzo pogodne lata. Wspomniane zebranie zapamiętałem jako jeden z kilku czarnych momentów. Katedra uratowała się, a wraz z nią szansa ukończenia naszych studiów na UJ.
- str. 72, 2. akapit – niezadowolenie ze stanu nauk społecznych wyrażano także wobec młodej kadry naukowej. We wrześniu 1949 r. ZG ZAMP zorganizował w Warszawie miesięczny Kurs Marksizmu-Leninizmu, którym kierował Adam Schaff. Zostałem powołany jako jego uczestnik. Gdy z krakowskimi koleżankami i kolegami zjawiłem się na Bielanych w obiektach dzisiejszej AWF, okazało się, że jest nas sto kilkadziesiąt osób z całej Polski, podzielonych na 10-osobowe grupy. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że mam być kierownikiem jednej z nich (od tego czasu datowało się moje koleżeństwo z Lili Marią Szwengrub, która była w mojej grupie). Byliśmy poddani ogromnej indoktrynacji politycznej i ideologicznej, robionej, że tak powiem, z otwartą przyłbicą. Wykładowcami byli czołowi ówcześni marksiści z Schaffem na czele (m.in. słynny dr [Emil] Adler, imienia nie pamiętam, o którym mówiono, *Adler ist kein Schaff, aber Schaff ist kein Adler*), a także politycy. Wiele z tych wystąpień robiło na mnie porażające wrażenie (m.in. wykład ówczesnego ministra sprawiedliwości – nazwiska nie pamiętam – o dominacji demokracji socjalistycznej nad burżuazyjną). Efektem było to, że poczułem się szczęśliwy, iż nie byłem związany z uczelnią (dzięki Dobrowolskiemu otrzymałem wtedy pracę w krakowskiej ekspozyturze CPLiA; na UJ zacząłem pracować w 1950 r.). Gdy na zakończenie kursu Schaff zaproponował wszystkim kierownikom grup seminaryjnych objęcie funkcji asystenckich w jego katedrze na UW, bez długiego zastanawiania się odmówiłem, tym bardziej, że na tle Dobrowolskiego wiedza Schaffa prezentowała się mi więcej niż skromnie (jego po prostu baliśmy się). *Notabene* poznałem wtedy m.in. [Leszka] Kołakowskiego, Tadeusza Jaroszewskiego i [Romana] Zi-manda, ale nigdy nie zbliżyliśmy się do siebie.
 - str. 72, 3. akapit: Studium Nauk Społecznych nie było substytutem jedynie socjologii, ponieważ równocześnie z socjologicznymi zniesiono także studia filozoficzne i pedagogiczne. Była jednak istotna różnica między tymi dwoma dyscyplinami a socjologią. Absolwenci studiów I stopnia SNS mogli ubiegać się o przyjęcie na studia II stopnia w za-

kresie filozofii i pedagogiki, które były prowadzone wyłącznie na UW. Masz rację, pisząc na str. 73, że takiej możliwości nie mieli studenci zainteresowani socjologią. W tym kontekście trzeba dodać, że mimo zawieszenia studiów socjologicznych dotychczasowym jego studentom dano szansę ich ukończenia do 31 grudnia 1952 r. (z tą datą o ile pamiętam, wygasła też możliwość doktoryzowania się i habilitowania). Mieliśmy wtedy na krakowskiej socjologii coś około 80. magistrantów. W efekcie prowadziłem, mimo że byłem początkującym starszym asystentem, jedno z seminariów magisterskich.

- str. 73, 2. akapit: na wniosek Dobrowolskiego jego dotychczasową Katedrę Etnologii i Socjologii UJ przemianowano na Katedrę Etnografii Ogólnej (słowo „etnologia” też było na indeksie). Niestety zaginął mi odpis listu Adama Rapackiego, ówczesnego ministra szkolnictwa wyższego, do Dobrowolskiego. Rapacki, informując o zmianie nomenklatury Katedry, wyrażał jednocześnie nadzieję, iż utrzyma ona swój dotychczasowy zakres badań. Było to zapewne pewnym aktem kurtuazji b. PPS-owca wobec starego sympatyka PPS (Dobrowolski nigdy jednak nie był członkiem żadnej partii).
- str. 73, przypis 72: zdaje mi się, że wrocławska katedra [Pawła] Rybickiego została postawiona w stan likwidacji już wcześniej. Istotne jest także i to, że na ówczesnym Uniwersytecie Bolesława Bieruta przez długi czas, chyba do połowy lat osiemdziesiątych, była czynna grupa ultramarksistów, którzy skutecznie blokowali poczynania socjologów. Na dobre ośrodek socjologiczny we Wrocławiu zaczął się rozwijać dopiero od połowy lat osiemdziesiątych, w czym wielki wkład miał Wojtek Sitek.
- str. 74. przypis 77: przypuszczam, że krakowskie „Koło Socjologów” było nie tylko efemerydą, ale zrzeszeniem martwym od chwili swego powstania. Nie słyszałem o żadnych jego inicjatywach. Nigdy nie nawiązało też kontaktu ze studenckim Kołem Socjologicznym UJ, aczkolwiek i dr Helena Miller-Csorbowa i Stanisław Orsini-Rosenberg byli u nas wykładowcami zleconymi (zapamiętałem wykład Orsiniego-Rosenberga o Starym Testamencie jako źródle socjograficznym).
- str. 76. przypis 83: chodzi zapewne o Józka Kądzielskiego. Miał pewne osiągnięcia jako badacz środków masowego przekazu. Zachowałem go w pamięci jako ideowego i przyzwoitego człowieka.
- str. 77, przypis 89: Pełna nazwa tej uczelni brzmiała: Wyższa Szkoła Nauk Społecznych TUR. Była dziełem Dobrowolskiego, który utworzył ją na zlecenie PPS i był jej pierwszym rektorem. Wiem na pewno,

że od początku zrezygnował ze swej gaży rektorskiej (40.000 zł, co było wówczas niemałym groszem), przeznaczając ją w całości na stypendia studenckie. Już w 1949 r., po dojściu stalinistów do władzy, zrezygnował z funkcji rektora, którą przejął Stefan Białas. Wydział Dziennikarski WSNS przeniesiono po jej likwidacji na Wydz. Filozoficzno-Społeczny UJ jako kierunek studiów.

- str. 78 przypisy 94 i 95: podręcznik Schaffa [*Wstęp do teorii materializmu dialektycznego i historycznego*] odgrywał w owym czasie dużą rolę jako główne źródło wiedzy studenckiej o marksizmie. Klasyków brać studencka nie czytywała. Pierwsze wydanie tego podręcznika kończyło się rozdziałem o polskiej drodze do socjalizmu. Po upadku Gomułki rozdział ten zniknął w dalszych wydaniach. *Materializm historyczny* pod red. Konstantinowa był zaliczany, obok podręczników ekonomii politycznej do tzw. „cegieł”. Podawało się go w literaturze egzaminacyjnej, ale szanujący się wykładowcy nie sięgali do niego w toku swych zajęć.
- str. 79, po pierwszym akapicie: W 1953 r. podjęto próbę oddziaływania na młodą kadrę naukową, organizując miesięczny ogólnopolski kurs marksizmu-leninizmu. Odbył się on w lipcu tego roku w Sopocie pod kierunkiem Schaffa i Hochfelda. Wzięli w nim udział asystenci i adiunkci filozofii, pedagogiki i psychologa, a także i socjologowie, różnie wówczas określający się. Ja przedstawiałem się jako etnograf, którym faktycznie byłem (pamiętam, jak w życzliwy dla mnie sposób śmiał się z tego Hochfeld). Poznałem wtedy wiele interesujących osób, m.in. Hannę Malewską, Iję Lazari-Pawłowską, jej kapitałnego męża [Tadeusz Pawłowski], dalej Klemensa Szaniawskiego, Zygmunta Poniatowskiego, Janka (?) Kraszewskiego i Henryka Stonerta (obaj zdobyli sobie później wysokie pozycje w logice i metodologii). W przeciwieństwie do kursu ZAMP w 1949 r. podstawą zajęć były nie tyle wykłady, ile lektura klasyków i dyskusje na seminariach. Atmosferę na kursie ukształtowały wieści z Moskwy o rozbiciu grupy Mołotowa, kogoś jeszcze i „Kaganowicza, który się do nich przyłączył”. Pamiętam konsternację, jaką wywołało to wśród partyjnych uczestników kursu i raczej optymistyczne komentarze wśród nas bezpartyjnych. Niezachwianą postawą wykazał się tylko Zygmunt Bauman, sekretarz organizacji partyjnej na kursie, który wśród wielu uczestników, tak partyjnych, jak i bezpartyjnych, nie cieszył się sympatią ze względu na swój pryncypializm i rygoryzm. W 1954 r. odbył się kolejny kurs, tym razem bodajże w Szklarskiej Porębie; udało mi się jakoś z niego wymigać.

- str. 79, przypis 100: jest w tej wypowiedzi nuta sarkazmu. W tamtych czasach istotne znaczenie miała możliwość podejmowania działalności badawczej uzasadnianej wypowiedziami klasyków. Dzięki temu pewne badania mogły być z pożytkiem prowadzone. Stwarzało to zarazem szansę ośrodkom prowincjonalnym powoływania się na to, co robi Warszawa. Wydaje mi się, że przytoczony przez Ciebie artykuł Hochfelda i Nowakowskiego, drukowany do tego w „Myśli Filozoficznej” (!), miał duże znaczenie ze względu na swe reperkusje, które otwierały drogę wielu późniejszym badaniom empirycznym.
- str. 80, przypisy 103 i 105: przypomniałeś całkowicie zapoznaną od pewnego czasu postać Bogusia Gałęskiego, dziś emeryta jednego z uniwersytetów stanu Wisconsin. Był człowiekiem o dużej odwadze cywilnej i ogromnej inteligencji badawczej. Z czasem popadł w konflikt z Wydziałem Nauki i Oświaty KC jako zagorzały przeciwnik kolektywizacji wsi. Nigdy się nie poddał wywieranej na niego presji. Ani nie słyszałem, ani nie spotkałem się z przepisem o ograniczeniach w poruszaniu się po kraju, a przecież dużo wtedy mieliśmy w Katedrze badań terenowych. Nie wiem, czy byłeś kiedyś w Żmiącej, ale tam nawet teraz trudno się dostać. Być może, że [Zbigniew T.] Wierzbicki] było to dobrą okazją dla kogoś z miejscowych agentów UB do wykazania się czujnością. Na marginesie anegdotyczna informacja, że Dobrowolski czuł się urażony, iż Wierzbicki nie poinformował go o tych badaniach. Pretensje Dobrowolskiego wzięły się być może stąd, że nigdy nie wyparł się swego mistrza Franciszka Bujaka i czuł się strażnikiem jego dobrego imienia. W tym czasie jedna z uczennic Celiny Bobińskiej, Irena Rychlikowa, napisała rozprawę kandydacką o kluczu wielkoporębskim, w której usiłowała zdemaskować Bujaka jako uczonego burżuazyjnego. Dobrowolski, powołany na recenzenta w tym przewodzie, „stanął okoniem”, chociaż Celinka była bardzo wpływową osobą. Recenzję napisał dopiero wtedy, gdy autorka rozprawy usunęła z niej fragmenty godzące w Bujaka.
- do str. 81 po akapicie pierwszym: niektórzy starsi profesorowie swoją aktywność naukową kierowali ku bardziej neutralnym naukowo rewirom. Dobrowolskiemu i Rybickiemu takiej sposobności dostarczyła sesja poświęcona Odrodzeniu w 1953 r. W księdze zjazdowej ukazała się jedna z najlepszych prac Dobrowolskiego a mianowicie obszerne studium poświęcone metodologii nauk społecznych w Polsce doby Odrodzenia. Tamże swoją rozprawę o Modrzewskim ogłosił Rybicki.
- do str. 81, po drugim akapicie: Trzeba ponadto zauważyć, że profesura na ogół unikała w trakcie zajęć dydaktycznych takich tematów, w których

musiałyby zajmować jednoznaczne stanowisko wobec marksizmu. Były oczywiście i inne sytuacje. Jednej z nich byłem świadkiem. Etnografia nie miała swojej instytucjonalnej reprezentacji w PAN; działała tam jedynie w Komitecie Nauk Historycznych Sekcja Etnografii. Sekcja ta odbywała z rzadka spotkania, z których jedno odbyło się w Krakowie w 1952 r. (?) w Katedrze Etnografii Słowian Kazimierza Moszyńskiego. Dobrowolski, przewodniczący sekcji, poprosił mnie o stenografowanie obrad. Na porządku dziennym był odczyt Moszyńskiego nt. ewolucjonizmu krytycznego. Była to koncepcja, nad którą pracował od pewnego czasu, gdy zaprzestał badań terenowych. Moszyński był samoukiem i – jak sędzę – jego znajomość etnologii nie wykraczała poza szkołę kulturowo-historyczną ojca [Wilhelma] Schmidta; funkcjonalizmu po prostu nie rozumiał (podobnego zdania był Andrzej Waligórski), a do Bronisława Malinowskiego miał wyraźną awersję. Ku (skrywanemu oczywiście) zdumieniu słuchaczy, Moszyński przedstawił swoje stanowisko w sprawie założeń teoretycznych ewolucjonizmu krytycznego jako całkowicie zbieżne z materializmem dialektycznym i jego czterema „prawami”. Co więcej, pozwolił sobie na zaatakowanie poglądów Malinowskiego w sposób wysoce zbieżny z tym, co jakiś sowiecki filozof (zapomniałem nazwiska) napisał w świeżo opublikowanej broszurce wydanej przez „Po prostu” (według daty jej wydania można by ustalić przybliżoną datę posiedzenia o którym mowa). Wtedy to, po raz jedyny w moim długim życiu, usłyszałem formułę: „w imieniu prawdy naukowej”. Padła ona z ust Dobrowolskiego, który zaprotestował przeciwko skalowaniu dobrego imienia Malinowskiego. Dla przyzwoitości dodam, że Moszyński, przygotowując pod koniec życia swoje monumentalne dzieło pt. *Człowiek*, w szerokim zakresie korzystał z konsultacji Waligórskiego i – o ile pamiętam – do głoszonych kiedyś opinii o Malinowskim nie powrócił.

- str. 83, 3. akapit: nie mogę zgodzić się z Twoim twierdzeniem, że „działania wymierzone w socjologię w okresie ścisłego stalinizmu stały się trwałym dorobkiem socjotechniki partii wykorzystywanym przez nią do końca PRL”. A przecież pod koniec tego okresu mieliśmy tzw. odwilż i warto by się przyjrzeć, co ona przyniosła. Wręcz wyjątkowym okresem był *Październik* '56. [...] Władza znalazła się po *Październiku* w stanie ogromnego *bezbołowania*, dzięki czemu bez większych kłopotów przechodziły uchwały rad wydziału i senatów w różnych nabrzmiałych dotąd sprawach, m.in. odnowienia socjologii. Czy nie jest wskaźnikowe, że jeszcze w czerwcu 1957 r. Ministerstwo Szkolnictwa

Wyższego powołało Katedrę Socjologii i Demografii UJ, powierzając jej kierownictwo, również na wniosek Dobrowolskiego, Rybickiemu, o którym dobrze wiedziało, że był w dobrych stosunkach z arcybiskupem Kominkiem we Wrocławiu. Czemu, jak nie słabości władzy, przypisać powstanie czy to Ośrodka Badania Opinii Publicznej przy PR, czy to Ośrodka Badań Prasoznawczych RSW Prasa w Krakowie?

Pozwolę sobie w tym miejscu na krótką wstawkę: Dobrowolskiego z Rybickim łączyły jeszcze w okresie międzywojennym prawdziwie przyjacielskie stosunki, zadzierzgnięte *via* Instytut Śląski w Katowicach, z którym obaj współpracowali. Bez poparcia Dobrowolskiego nie odbyłaby się habilitacja Rybickiego, nie mówiąc już o Katedrze dla niego na UJ. Później zaczęło dochodzić do nieporozumień, głównie – jak sądzę – z tego powodu, że po pierwsze, Dobrowolski był profesorem starej daty i chciał o wszystkim sam decydować, podobnie Rybicki, któremu mogła ciążyć zależność od Dobrowolskiego; po wtóre, pewne kroki Rybickiego odbierał Dobrowolski jako akty nielojalności wobec siebie (np. próby powierzenia Januszowi Ziółkowskiemu Katedry po Dobrowolskim).

Krótko mówiąc, okres popaździernikowy był odbierany powszechnie w kręgach intelektualnych (i nie tylko w nich) jako zaprzeczenie stalinizmu. Taki stan rzeczy był oczywiście nie na rękę zarówno staremu aparatowi partyjnemu, jak Gomułce (choć, być może z innych powodów). Stąd „teoria” dwóch chorób socjalizmu: grypy (rewizjoniści) i kataru (dogmatycy). Nie ośmielono się jednak płynących z niej nauk od razu wprowadzać w życie. Dokonywano tego stopniowo, co zraziło wielu lewicujących intelektualistów – odpowiedzią były pierwsze zbiorowe protesty, jak słynny *List 34*. Zgodzę się z Tobą, że chętnie wracano do metod wypracowanych w okresie stalinowskim, ale w sumie nastąpiło znaczne złagodzenie reżimu. Jak inaczej wytłumaczysz np. fakt, że ogromna większość późniejszych docentów i profesorów odbyła staże zagraniczne w krajach na zachód od Odry? Że takiej intensyfikacji uległy międzynarodowe (czytaj zachodnie) kontakty naukowe? Że nastąpiła erupcja wydawnictw socjologicznych?

Piszesz również w tym akapicie o zabiegach osób, które były zainteresowane zajmowaniem w nauce wysokich pozycji. Jest to dosyć złożona sprawa. Po pierwsze, wskażę na to, że wielu pracowników nauki z różnych powodów programowo nie aspirowało do kierowniczych stanowisk, co automatycznie otwierało drogę różnym miernotom. Po wtóre, bodaj do 1969 r. obsada wielu z tych stanowisk na uczelniach pochodziła z wyboru i wbrew pozorom partia nie miała całkiem wolnej ręki. Po trzecie, niektórzy partyjni socjologowie wyraźnie rozluźniali swe więzi z KC, nie chcąc uchodzić za „podnóżki” tej instytucji. Nie bez kozery partyjni socjologowie byli oskarżani o rewizjonizm. O braku zaufania do nich świadczy fakt, iż w działających w strukturze KC partyjnych zespołach naukowych socjologowie długo nie posiadali własnego gremium, jak np. ekonomiści, politolo-

gowie czy historycy, lecz zostali oddani pod kuratelę bardzo upartyjnionych filozofów (tworzyli z nimi, bodaj do 1978 r. Zespół Partyjny Filozofii i Socjologii. Po czwarte wreszcie, jestem zdania, że właściwie w całym okresie po II wojnie światowej stosunki międzyludzkie wśród socjologów były co najmniej poprawne. Dobrze się wiedziało, kogo należy się strzec, a komu można ufać. Stąd tak trafnie zaobserwowane przez Antka Sułka zjawisko *socjologii oralnej*. Nie miały też miejsca na szerszą skalę przejawy ostracyzmu wobec partyjnych kolegów. Można wskazać na wiele przypadków dobrego koleżeństwa i przyjaźni bez względu na oblicze polityczne partnerów. Trafnie to ujął w swoim przemówieniu na uroczystości 40-lecia odnowienia PTS Janusz Ziółkowski. Owszem, stosowano rodzaj sankcji towarzyskiej wobec niektórych ludzi z aparatu partyjnego, czy WSNS przy KC, unikając z nim bliższych kontaktów i ważąc słowa. Ale też nie dotyczyło to wszystkich, jak np. Staszka Widerszpila, który cieszył się opinią przyzwoitego człowieka.

Dziś gdy jestem już emerytem i okres ten coraz bardziej oddala się ode mnie, nadal jednak patrzę z nieukrywany przerażeniem na grozę II wojny światowej i okresu powojennego, zwłaszcza lat stalinizmu. Niemniej jednak równocześnie towarzyszy mi poczucie dumy, iż i socjologowie nie dali się złamać, a ich osiągnięcia po 1956 r. są po prostu bez precedensu w tej części Europy. Wystarczy poczytać artykuły w książce Janusza Muchy i Mike'a Keana [...], aby to dostrzec to bez cienia wątpliwości.

Drogi Włodek, tak więc ku swojej radości, dotarłem do końca tej epistoły. Rozpisałem się setnie, ponieważ odczuwałem potrzebę podzielenia się pewnymi spostrzeżeniami i – być może – przyczynienia się tym samym do lepszego oświetlenia niektórych spraw, zwłaszcza takich, które miałem w bezpośrednim polu widzenia. Wybacz, jeśli niechcący w czymkolwiek Cię dotknąłem!

W naszym domu na Solvaya mieszka mi się wprawdzie bardzo dobrze, ale po dosyć ciężkim roku (wykładałem w Ostrowcu odległym o 180 km od Krakowa; prowadzę magisteria na UJ, [redaguję] *Encyklopedię*, nie mówiąc o zaabsorbowaniu budową domu), odczuwałem potrzebę oderwania się od zwykłej codzienności i przebywania w bardzo przyjaznym mi środowisku. Jeśli więc wszystko pójdzie dobrze, w Ochotnicy posiedzę do końca sierpnia. Oczywiście przywiozłem tutaj różne roboty i żyję błogą nadzieją, że je ukończę. Jestem tu uchwytany pocztą elektroniczną. Ściskam Cię najserdeczniej

